

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO
na tle ostatnich rozgłosnych wypadków
w Królestwie Polskiem.

36

Ciąg dalszy.

Na ożywionej dyskusji politycznej skończyło się posiedzenie, a gdy Gołubiew i von Plessen znaleźli się na ulicy, rzekł sekretarz:

— Słuchajcie, Iwanie Iwanowiczu, a gdyby tak konsulowi niemieckiemu szepnąć o memoriale naszym...

— Hm... byłoby to nieźle, dałby znać do ambasady w Petersburgu i konstytucję dyabli by wzięli — uśmiechnął się von Plessen — ale ja się tego nie podejmę... może się wykryć.

— A ja dla dobra Rosyi to zrobię — powiedział Gołubiew.

Na drugi dzień Kola, szukając Porwy, zaszedł do Logiki, wprawdzie nie zastał ani Logiki, ani Porwy, natomiast Wanda przyjęła go z uśmiechem przyjaznym mówiąc:

— Dobrze, że przyszliście, nie będzie mi się czas dłużył.

— A ja rad jestem, że was widzę bez żadnych ubocznych korzyści — uściśnął podaną rękę.

— Już z tego, że radzi jesteście — zaśmiała się — macie korzyść... Czy przynosicie co nowego?

— Mały kwiatek z biurokratycznej reakcji... a gdzie byliście dzisiaj?

— Cały dzień w pracy, bo wiecie idzie o wybór komitetowych w myśl Porwy i brata.

— I jaki rezultat?

— Robotnicy prawie wszyscy, jak mi mówiła Logika, są za utrzymaniem narodowego charakteru; to samo i moi kolejarze, a o związkach zawodowych nie wiem... A wiecie, gdziekolwiek byłam spotykałam agitatorów pochodzących z narodowego.

— Czy mają powodzenie?

— Wielkie nawet, bo przemawiają do uczuć narodowych.

— A wy, towarzyszek, nie tłumaczyliście, że pochod ten to woda na młyn endeków, naszych przeciwników?

Spojrzała na niego zdziwionemi oczyma:

— Ale w imię jakich hasel miałam odwozować towarzyszków od pochodów narodowych? Ja jestem Polką, oni są Polacy, i gdy po czterdziestu dwu latach wolno nam zaznaczyć, że dążymy do wolnej, niepodległej Polski, ja mam się sprzeciwić dlatego, że endecy biorą udział w tej manifestacji?

— Zważcie towarzyszek, że my, socjaliści, chcemy innej Polski, opartej na zasadach sprawiedliwości i równości, a endecy stoją na gruncie różnic klasowych i wyznaniowych.

— Wzrusza mnie wasza mądrość — zaśmiała się wesoło — ale uprzedzam was, że o różnicy pomiędzy nami a endekami już wiedziałam. W manifestacji narodowej nie chodzi ani o endeków, ani pepeesowców, ani esdeków, ugodowców, klerykałów lub innych, ale o Polskę. Musimy zaznaczyć, że żyjemy, że chcemy być wolni i niepodlegli. Wszyscy musimy stanąć w szeregu.

— I wy pójdziecie? — zdziwił się.

— Naturalnie, zrozumcież, że tu idzie o całą Polskę, a nie o stronnictwa. Gdy będziemy wolni, wówczas przyjdzie czas na walkę stronnictw.

— Jestem pewny, że ani Logika, ani Porwa, ani Bal nie pójdą.

— Może... nie wiem... ale gdyby nawet oni nie poszli, ja będę.

— Przez upór — uśmiechnął się.

— Nie przez upór, uczynię to z obowiązku.

Wanda była tak piękną w tem podnieceniu, z błyszczącemi oczyma, że rozkochany Kola nie umiał czy nie chciał jej się sprzeciwić i rzekł:

— Macie słuszość towarzyszek... na waszem miejscu poszedłbym.

— Czy naprawdę was przekonałam? — spytała z uśmiechem radości.

— Wiecie, sam nie wiem.

— Jakto?

— Patrząc na was, słuchając was, nie umiem krytykować.

— A nie widząc mnie, wracacie znów do waszych przekonań — uśmiechnęła się.

— W tem bieda, że tak nie jest — westchnął — już w sprawie należenia do stronnictwa mam do wód, że wpływ wasz jest trwały.

Na wrażliwej twarzy Wandy widać było zaniepokojenie, poczuła dziwną obawę przed tą rozmową, domyśliła się, że on mówi o swem uczuciu dla niej, a nie chciała wyraźnych słów, bo tak jej dobrze było z dotychczasową przyjaźnią Koli. Chciała zmienić przedmiot rozmowy, ale nasuwające się temata wydały się jej tak banalne, tak niezręczne, że zniecierpliwiona przygryzła usta, a w mózgu miała tylko jedno, jedyne pytanie, o czym mówić? Nagle zabłysły jej oczy, rozpogodziła czoło i lekko zarumieniona mówiła może zbyt pospiesznie, jak gdyby w obawie, że pomysł uleci.

— Mylicie się w rozumowaniu, was wzięła idea wolności, idea naprawienia krzywdy. Przecież i Logika tak samo od esdeków przeszła do nas. Zresztą to do rzeczy nie należy, powiedzcie mi o tym kwiatku reakcyjnym, z którym przyszliście do nas.

Kola spochmurniał, a w czarnych jego oczach odbił się smutek i rzekł po chwilowym milczeniu:

— Wiecie, towarzyszek, co do mnie, nie lubię niedomówionych słów, nieokreślonych uczuć, niezdecydowanych barw. Człowiek powinien być zawsze szczerym i przejrzystym jak kryształ... Otóż mój stosunek do was nie jest jasny, ma coś w sobie z nieokreślonością i niepochwytnością mgły, a jesteśmy zbyt dobrymi towarzyszami, abyśmy względem siebie nie byli szczerzy. Czy pozwolicie mi być szczerym?

Wanda, słuchając go, poczuła żal do niego, w jakim celu, po co i na co, mówi on to wszystko? I nie bez gorzkości powiedziała:

— Zdawało mi się, że nasz wzajemny stosunek jest szczerzy i wy sami stwarzacie sobie urojone wątpliwości. Nie posadzacie mnie przecież o jakieś udawania, komedye?

— Ani na chwilę — ożywił się Kola — pragnę tylko dla siebie, abym wypłynął na jasne wody. Nie wystarcza mi przyjaźń, bo kocham was i ani na chwilę nie opuszcza mnie wasz obraz, wszędzie i zawsze jesteście ze mną i we mnie. Straciłem siebie, bo rozplątałem się w miłości i żyję jedynie pragnieniem pozyskania waszej wzajemności. A to mnie tak dreczy, tak męczy, tak dokucza, że wolę pewność, chociażby najgorszą, aniżeli to życie chwiejne i mgliste. O jedno was proszę, bądźcie szczerzy ze mną i powiedzcie mi, czy mogę liczyć na waszą wzajemność?

Z chwilą, gdy Kola wyznał swą miłość, Wanda uspokoiła się nagle, zrozumiała, że już słów tych nie cofnie żadnym sposobem, a Kola miał wyraz takiej szczerości, tak odczuwała jego niepewność i obawę, patrzyła tak błagalnie, że poczuła najpierw wielkie współczucie i pragnienie, aby on był szczęśliwy, spokojny, uśmiechnięty. Spojrzała mu w oczy z taką słodyczą i dobrocią, że Kola, nie czekając jej słów, pochwylił ją, ucałował i szepnął gorąco:

— Kocham cię... kocham...

Wanda zarumieniona odsunęła go i patrząc na jego twarz rozpromienioną i szczęśliwą mówiła z dobrym uśmiechem:

— Jeśli mnie kochacie, to jeszcze żadna racja, aby mnie gniesć i całować. Możemy się kochać, ale bez tych czułości, bez pocałunków.

— Jakież ja szczęśliwy — zawołał i pochwyliwszy jej rękę całował gorąco.

— Proszę was, bądźcie rozsądni — wyrwała mu rękę — albo wyjdę z pokoju.

— Już jestem — odsunął się od niej cokolwiek.

— Dobrze... teraz usiądźcie i pomówimy szczerze.

— Tego tylko pragnę — zaśmiał się Kola.

Wanda usiadła na krześle opodal Koli i zaczęła z powagą:

— Przypuściwszy, że kochamy się...

— Nie zgadzam się — przerwał jej Kola — to nie jest żadne przypuszczenie, to fakt spełniony.

— Dobrze, zatem kochamy się i cóż dalej?

— Będziemy się kochali aż do śmierci i po śmierci — odpowiedział z uśmiechem.

— Ależ bez żartu — ściągnęła brwi Wanda — co myślicie o przyszłości?

— Naturalnie pobierzemy się i będziemy szczęśliwi.

— Dla was to naturalne, a dla mnie nie. Z chwilą pobrania i wy i ja bierzemy na siebie obowiązki, stwarzamy, jak to mówią, ognisko rodzinne, czyli innymi słowy zostaję gospodynią, kucharką, mamką, niańką, wychowawczynią itd. itd. A ja tego nie chcę, ja muszę być wolną, swobodną.

— Któż mówi o niewoleniu, o krępowaniu waszej swobody?

— Życie, towarzyszek, życie! Gdy się połączymy, mogą być dzieci i względem nich zaciągamy obowiązki... i dlatego nie pójdę zamaż... i chociaż was bardzo lubię, a może i kocham, żoną waszą i niczyją nie będę.

— Wy to mówicie seryo? — spytał zmienionym głosem.

— Najzupełniej.

— Więc cóż będzie dalej?

— Mogłabym odpowiedzieć waszemi słowami, że będziemy się kochali, ale z osobna. Nie powiem tego, tylko zważcie towarzyszeku dobrze, otóż zaledwie zaczęliśmy pracować społecznie, zaledwie wstąpiliśmy do partii, wokoło wrze walka, pracy mnóstwo i każdej chwili musimy być gotowi na śmierć, na więzienie... a wy chcecie zaciągać nowe zobowiązania, nowe ciężary, nowe kajdany.

— Ja was rozumiem — zaczął Kola — i mielibyście zupełną rację, gdybyście wychodzili za człowieka innych przekonań aniżeli waszych... ale my zgadzamy się najzupełniej, a walcząc wspólnie o wspólną sprawę będziemy silniejsi, pewniejsi, opanowiejsi, gdyż będziemy sobie wzajemnie pomagali.

— Nie, towarzyszek, to złudzenie. Dwóch kochanek nie kocha się jednakowo, można tylko jedną kochać prawdziwie i szczerze, druga staje się ciężarem. Nad osobiste szczęście przenoszę społeczne, ogólne.

— Zatem mnie nie kochacie — rzekł ze smutkiem Kola.

— Nie wiem... zdaje mi się, że was kocham, ale póki trwa ten chaos, póki nie wywalczymy wolności, nie mogę porzucać sztandaru, aby się zamknąć w ciasnej klatce osobistego szczęścia.

— Wiecie Wando, zgodzę się z wami, ale pod warunkiem.

— Jakim?

— Z chwilą, gdy zwyciężymy, połączymy się na zawsze. Dobrze?

— Ale, gdy Polska będzie wolną — dodała Wanda.

— Zgoda i na to — uśmiechnął się Kola — a aż do tej upragnionej chwili pozwólcie mi, że będę dla was bratem i najlepszym przyjacielem.

— Ale bez żadnych czułości, uściśków itd., bo tego nie lubię.

— Dobrze Wandziu — i ucałował jej rękę.

— Znow zaczynacie?

— To na zgodę — zaśmiał się — zresztą za miesiąc, za dwa musisz mi pozwolić na ucałowanie ręki, bo będziesz moją żoną.

— Czy sądzicie, że naprawdę tak prędko zwyciężymy rząd? — spojrzała zdziwiona.

— Przypuszczam, że tak, przecież pod naciskiem jednego strejku zachwiał się i musiał dać konstytucję, a my nie ustaniemy w tej walce, aż póki nie będzie Polski.

Zabrział dzwonek i za chwilę weszła Logika z Porwą.

— Szukałem ciebie — zawołał Kola — mam ciekawe wiadomości.

Logika, która szła do dalszego pokoju, aby się przebrać, przystanęła na chwilę mówiąc:

— Zaczekajcie na mnie, zaraz przyjdę.

Otóż na wczorajszym posiedzeniu — mówił Kola po nadejściu Logiki — postanowiono wysłać wspólny memoriał do Petersburga, aby Królestwo wyłączyć z nadanej konstytucji i stan wojenny ma trwać dalej.

— Nie wiesz, kto podał projekt — spytał Porwa.

— O ile wiem, to gubernator kaliski.

— Ten zajdzie w biurokracji wysoko — zaśmiał się Porwa — on przeczuł grę Wittego i rządu, idzie im na rękę.

Wszedł Bal, a widząc zebranych, spytał:

— Nad czym radzicie? — a gdy opowiedziano mu o memoriale, dodał — to wyłączenie Królestwa umocni naszą partię.

— Prócz memoriału stawiano wnioski na tem posiedzeniu, aby rozpedzić manifestantów. To projekt Plessena i Gołubiewa.

— Ach ten Gołubiew — mruknął Bal i spojrzał nienawistnie na przeciwległe okna.

— Czy uderzą na pochod? — spytał Porwa pospiesznie.

— Ojciec odmówił — odpowiedział Kola z zadowoleniem — wbrew żądaniu wszystkich. Wojsko jednak będzie w pogotowiu na wypadek rozruchów.

— W takim razie — odezwała się Logika — powtórzy się scena z przed ratusza.